

## Prenumerata w miejscu.

rocznie . . . . . rs. 3 kop. —  
półrocznie . . . . . rs. 1 kop. 50  
kwartalnie . . . . . rs. — kop. 75  
Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.  
Cena pojedynczego numeru kop. 10.  
z przesyłką:  
rocznie . . . . . rs. 4 kop. 40  
półrocznie . . . . . rs. 2 kop. 20  
kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 10

# TYGODNIK

## Ogłoszenia.

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz  
petitu lub za jego miejsce.  
za 2—6 razowe po kop. 4 za  
wiersz.  
za 7—10 razowe po kop. 3 za  
wiersz.  
Cena ogłoszeń na pierwszej stronie podwójna.  
Reklamy po 10 kop. za wiersz petitu.  
Cena ogłoszeń zagranicznych po 10 kop. od wiersza.

Biuro Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcja, obiedwie księgarnie w Petrokowie, oraz po zagranicami guberni petrokowskiej wyłącznie agentura „Rajchman i Frenkler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Petrokowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. w Częstochowie „Nowa księgarnia”—prócz tego.  
w Częstochowie W. Gaszdecki w Łasku W. Grass.  
w Będzinie „Janiszewski Stan. w Łodzi „Janiszewski Leopold  
w Brzezinaach „Krzemienieński Jul. w Radomsku „Ruszkowski Erazm.  
w Dąbrowie „Tomaszewski J. w Rawie „Szewłodziński.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

## PAMIĘTNIKI

Henryka Heinego

opuściły prasę w przekładzie polskim

J. MATUSZEWSKIEGO

Cena kop. 24. — z przesyłką kop. 30.

(2—1)

## Powieść Elizy Orzeszkowej NA DNI SUMIERIA

wyszła z druku nakładem S. Lewenthala, jako tom 15-ty taniego zbiorowego wydania dzieł tej sławnej autorki i jest do nabycia we wszystkich księgarniach.

(2—1)

## Lekeyj jazdy konnej

codziennie, z rana i przed wieczorem, w godzinach pobiurowych, udziela

(4—1)

Konrad Ziemiński

W „Petrokowie”—w gmachu Sądu Okręgowego.

## Student Uniwersytetu

poszukuje korepetycyi na wsi w czasie wakacyi. Wiadomość u W-go Cholewickiego, ulica Moskiewska dom W-go Wygrzywańskiego.

(6—1)

Na folwarku ROKICINACH przy stacji ROKICINY są do najęcia

## Dwa lokale na letnie mieszkania.

Wiadomość u Kowalskiego w Butecie.

(3—1)

Ponieważ doszło do mej wiadomości, że kursują weksle z moim podpisem: przeto niniejszem oznajmiam, że nigdy weksli ani rewersów żadnych nikomu nie wydawałem i nie wydaję, a tem samem i żadnych weksli i rewersów z moimi podpisami nie akceptuję i płacić nie będę,—a nadto pociągającej będą posiadacze takowych, do odpowiedzialności na drodze kryminalnej.

Petroków d. 29 Marca (11 Kwietnia) 1885 r.

(3—2)

Jacek Buczeń.

## FOLWARK

### DO SPRZEDANIA

rozległości wlok 13½ w powiecie Brzezinińskim, guberni „Petrokowskiej”, w bliskości stacji kolei żelaznej Rogów — w bardzo dobrej glebie. Budynki murowane. Inwentarze i zasiewy kompletne. Dom mieszkalny umeblowany i urządzony ogród.

Cena za włokę rs. 3000.

Bliszej wiadomości zasięgnąć można w „Petrokowie” u Sekretarza Hypotecznego Sądu Okręgowego.

(3—2)

## M-me MARY

enseigne l'Anglais et le Français.

St'adresser rue Odeska maison de M-r Sommer. (4—3)

## OSOBA

Z WYŻSZYM PATENTEM

udziela lekcji języków i historii. Wiadomość w Redakcyi.

(0—20)

## OGRÓD owocowo-kwiatowy

z oranżeryją, inspektami, mieszkaniem, obórką, altanami i werendą, przy Alei spacerowej wśród miasta, każdej chwili do wydzierżawienia na przystępnych warunkach. Wiadomość w domu W-go Popowskiego, ul. Odeska w „Petrokowie”.

(0—9)

Żądane jest

6000 Rs.

na pierwszy numer hipoteki, na majątek nie obciążony nawet długiem Towarzystwa Kredytowego. Blisza wiadomość i szczegółowe informacje w Redakcyi „Tygodnia”.

(7—6)

## Wiadomości Bieżące.

— **Teatr** w ubiegłym tygodniu był przepełniony; w powrocie bowiem do Pragi Czeskiej, z gościnnych debiutów w Warszawie, występowała u nas czterokrotnie p. *Maryja Pospiszil*, artystka tamczesnego teatru narodowego, słynnego czeskiego „Divadla”. — „Księżna Marta”, „Rozwiedzmy się”, „Romans paryzki” i „Froufrou”—oto arena jej popisu na tutejszej scenie. Artystka ta, przez przeciąg paromiesięcznego zaledwie w naszym kraju pobytu, nauczywszy się wcale niezłe po polsku i posiłkując się w krótszych na scenie dyalogach naszą mową, oraz zastępując polskimi wyrazami niektóre trudniejsze czeskie—znakomicie ułatwiła naszej publiczności ról swych zrozumienie; pobratymcy nam wreszcie język czeski jest o tyle zbliżony do polskiego, że tylko w miejscach nader szybkiej dykcji staje się mniej zrozumiałym. Wogóle zatem mówiąc, mogliśmy wartość gry czeskiej artystki ocenić dosyć dokładnie.

Jakoż na pierwszym zaraz wstępie, zrobiła na nas silne wrażenie. Jej „Księżna Marta”, a raczej Fedora — gdyż właściwie tę ostatnią starała się nam przedstawić—to kobieta z najwyższym w świecie temperamentem, do najwyższego stopnia gwałtowna, namiętna i na wskroś dramatyczna. Realny kierunek w odtwarzaniu kreacyi, jakiemu artystka zdaje się hołdować, nadaje się tu wysmienicie; szkoda tylko, że „szeroka natura” Fedory, była szczupłością naszej sceny co krok kępowana: każdy rzut, każdy skok gwałtowniejszy, każdy gwałtowniejszy lub namiętniejszy wybuch, przerzucił artystkę z jednego końca sceny na drugi, a że tych wybuchów i tych namiętności nie skąpił Sardou, odtwarzając taką kobietę nerwów, jaką jest Fedora — przeto w ciasnych szrankach naszej sceny wydawała się nam ona nieco nienaturalną postacią, jak gdyby nie kobietą, ale istną panterą. Oprócz ciasnoty sceny, przyczyniły się do tego dwie jeszcze przyczyny, jakie pod postacią zarzutów uczynilibyśmy artystce: pierwszym jest brak znajomości na gruncie kobiet tego świata, z jakiego wziął Sardou

Fedora, drugie zaś—to pewne zapomnienie o salonowej dystynkcyi, jaka ją cechować powinna; salon bowiem to pole kosmopolistyczne, na którym ludzie nabierają pewnych wspólnych manier, należących do tak zwanego dobrego tonu, czy to w Paryżu, czy w Wiedniu, w Warszawie, czy w Petersburgu. W każdym razie ten ostatni zarzut stawiamy ostrożnie, bacząc na nader niekorzystne warunki otoczenia, szczupłość naszej sceny i na tę okoliczność, że Praga Czeska nie posiada jak dotąd salonów podobnych do salonów innych miast Europy.

Tu właściwa pora na wzmiankę o wysoce dramatycznym kierunku, jaki jest przeważającą cechą talentu czeskiej artystki i o właściwości danych przyrodzonych, nader sprzyjających jego w przyszłości rozwojowi. Im sytuacja bardziej tragiczna, im większej wymaga siły, naprężenia i realizmu — tem więcej artystka zdaje się w swoim żywiole, tem łacniej do niej dorasta: kojarzą się tu w jedną harmonijną całość—okazała o wydatnych rysach twarzy postać, głos nader sympatyczny o rozległej kontraltowej skali, wrodzony temperament i artystyczny zapal. Dość sobie przypomnieć scenę, kiedy Perreti przyznaje się jej do zbrodni zabójstwa, lub scenę, gdy chwytła za kubek trucizny, w chwili gdy tenże Perreti przyrzeka zabić nieznaną donosicielkę. A ten mistrzowski skok, podobny do skoku ranionej hieny, kiedy nieszcześliwy, wola „ach! poznaj ją nareszcie!”

Sceny konania, studyjowane przez p. Pospiszil po szpitalach, pod kierunkiem pragskich lekarzy, zdają się być jej specjalnością. Widzieliśmy ją konającą jako „Martę”, jako Marcelinę w „Romansie paryzkim”, i jako Gabryelę w „Froufrou”—i musimy wyznać, że realniej tylko konać potrafi Sara Bernhard; czeska bowiem artystka po mistrzowsku rzecz tę prowadzi— za każdym razem konała inaczej, a zawsze z najwyższą prawdą, nie przechodzącą jednak w ów najgrubszy i wstętny już realizm. Snać wie p. P., że prawda życia ma swoje prawa, ale ma je także i sztuka, jeśli ma pozostać sztuką piękną.

Przyznamy się, że po przedstawieniu „Marty”, po ujrzeniu takich wybitnych zdolności panny Pospiszil w kierunku dramatycznym, nie spodziewaliśmy się po niej tej lekkości i werwy, jakich wymaga komedia francuzka—słowem nie obiecywaliśmy sobie ujrzeć w „Divorçons” takiego w pierwszym akcie upartego i imponującego, acz uroczonego dyjabelka, a w drugim takiej figlarnej i zazdrosnej kotki, jaką przedstawiła nam artystka w Cypriannie.

Grała tak świetnie, z takim życiem, humorem i prawdą, że literalnie porwała i w niewolę wzięła całą publiczność. Najlepszy to dowód wszechstronności tego bądź co bądź wyjątkowego talentu, który, jeśli nie stanął dziś jeszcze na najwyższym szczyście sztuki, jeśli ma swoje liczne usterki, jeśli brak mu jeszcze owego mistrzowskiego

wyrobienia i modulacji olbrzymiego organu głosu, w jakiej tak celuje nasz Królikowski: to o ile nam się zdaje, jedynie dlatego, że w 24 roku życia, w jakim się obecnie znajduje czeska artystka, nikt jeszcze skończonym mistrzem nie został. Przeciwnie, jeśli kto już w tym wieku tyle zdobył—dowód to olbrzymich zasobów wrodzonych i ogromnej na polu artystycznym przyszłości, gdy tylko nie omieszką pracować dalej nad sobą i kształcić się na wzorach artystów pierwszorzędnych, których dotąd panna Pospiszil nie miała sposobności widzieć. To też publiczność nasza umiała to niejako przeczuć i ocenić, darząc artystkę na pierwszym i ostatnim przedstawieniu bukietami oraz skromnym pamiątkowym upominkiem.

Uwagi powyższe, jakie nastęrczyły nam dwa pierwsze przedstawienia: dramatu „Marta” i komedyi „Rozwiedzmy się”, znalazły zupełne potwierdzenie na dwóch następnych: na dramacie „Romans paryżki”, w którym p. Pospiszil grała rolę Marceliny i na komedii „Froufrou”, w której odtworzyła postać Gabryeli. I jeśli publiczność tą ostatnią sztuką nie została tak porwana, jak podczas przedstawienia „Divorcous” — to już wyłącznie wina otczenia artystki, partnerki jej i partnerów, którzy nie nauczywszy się ról swoich, na każdym kroku przeszkadzali czeskiej artystce. I zaiste trzeba było całej, jej tylko właściwej przytomności umysłu w wielu razach, aby sztukę przeprowadzić do końca: dość powiedzieć, że we drzwiach już cofnęła nie w parę wchodzącego artystę, i nadzwyczaj znieczym odzwaniem się zdołała naprawić sytuację.

Dobrze to rozumiemy, że w podobnych warunkach nie tak łatwo zachować tyle konieczną swobodę i spokój umysłu, i że niepodobna zupełnie wyswobodzić się z pod wpływu zgnębego niepokoju i niepewności, każące przypuszczać, iż lada chwila mogą współgrający wywołać jakąś śmieszność i popsuć cały efekt. Na usprawiedliwienie naszych artystów musimy przyznać, że się przygotowywali zbyt pośpiesznie i ról w „Romansie paryżki” i „Froufrou” nie mieli czasu studyjować; w dwóch natomiast pierwszych sztukach, które mieli gotowe w repertuarze, gra szła im znacznie gładziej i nie przedstawiała zbytnej dysharmonii. Na zaznaczenie zasługują tu p. Dobrzycka i p. Dobrzański.

M. D.

— **Koncert** p. Józefa Wieniawskiego dany we środę 22 b. m., był prawdziwą uroczystością dla naszych melomanów. Doskonale ułożony program koncertu dał nam poznać wszechstronność artysty, traktującego z równą doskonałością kompozycje różnych autorów i różnego charakteru. Rozpocząwszy wspaniałą sonatą (appassionata) Beethovena, grał następnie koncertant utwory Haendla, Webera, Chopina, Liszta i swoje własne—celując we wszystkim właściwą sobie elegancją i niepospolitą techniką. Te zalety podziwialiśmy szczególnie w „Perpetuum mobile” Webera, „Etude” Chopina, siłą zaś i ekspresją w Wagnerowskim marszu z Tannhäusera (układu Liszta), który, równie jak polonez Chopina, najgorętsze zyskał oklaski. Pierwszorzędny talent p. Józefa Wieniawskiego zjednał mu europejską sławę wykonawcy, a grę jego cechuje głównie niezwykła wytworność i wysoko rozwinięty mechanizm. Jako kompozytor zaprodukował nam koncertant dwa swoje utwory, z których poetyczny nocturne na szczególne zasługuje odznaczenie. Publiczność, nie nader wprowadzając licznę zebrana, serdecznie przyjmowała artystę, który zmuszony był wykonać nad program wale Chopina. Głównie tylko niepowołanych, głośną rozmową i ciągłym szepcaniem, przeszkadzało prawdziwym amatorom w rozkoszowaniu się tą iscie artystyczną uzią.

— **Uroczystość S-tych Cyryla i Metodego** obchodzona była w Częstochowie w sposób następujący. O godz. 10-ej ekstrakcją złożoną z 9-ciu wagonów, nadjechał tam J.W.-ni Gubernator z rodziną, Wice-gubernator, oraz zastęp urzędników i młodzieży gimnazjalnej. Prosto z kolei udano się do cerkwi gdzie, nabożeństwo odprawił proboszcz Radziejewski; następnie, z udziałem wojska i dwóch orkiestr, odbyła defiladę i procesyję, poczem zgromadzeni udali się do lokalu resursy, w której pan Daehniewicz inspektor progimnazjum miał odczyt o działalności S-tych. Po wykonaniu odpowiednich śpiewów, przemówił powtórnie prof. Dubieckij — i znów nastąpiły śpiewy. Po obiedzie o godz. 5-ej, zebrani ekstrakcją opuścili Częstochowę.

W Piotrkowie uroczystość odbyła się mniej więcej tak samo. Młodzież katolicka po odbytem w kościele po pp.-Dominikankach nabożeństwie, połączyła się plaau Aleksandryjskim z procesyją, które tu nadeszła z cerkwi. W klubie odczyt o działalności SS-tych wypowiedział pan Migulia, dyrektor

miejsceowego gimnazjum, wobec uczącej się młodzieży rządowych i prywatnych zakładów naukowych. Odpowiednie śpiewy zakończyły uroczystość.

— **Wystawa obrazów i starożytności.** W pierwszych dniach maja mieć będziemy prawdopodobnie wystawę obrazów i starożytności, pana Sulatyckiego. Obrazów oryginalnych ma mieć pan S. 150. Ceramika ma się przedstawiać dość bogato. Wystawa będzie miała miejsce w hotelu Litewskim i połowa dochodu zebranego za bilety wejścia, ma być przeznaczoną na cel dobroczynny.

— **Lista Jeometrów.** Z powodu uzupełnienia w tych dniach listy jeometrów uwierzytelnionych przy DS-wej piotrkowskiej do czynności pomiarowo-klasyfikacyjnych w dobrach stowarzyszonych — i my też uzupełniamy takową. Do uwierzytelnionych zatem należa: Dymitrowicz Włodzimierz, Grabiański Adam, Gładysz Seweryn, Kozłowski Józef, Krzesimowski Stanisław, Kulakowski Zdzisław, Latoszyński Michał, Łuniewski Feliks, Niklewicz Emil, Piaszczyński Leonard, Szuman Antoni i Tomczyński Franciszek.

— **Konna jazda.** W dzisiejszym numerze znajdują czytelnicy nasi ogłoszenie pana Z. o udzielaniu lekcji konnej jazdy. Dla ludzi pracy, z jakich przeważnie składa się ludność miasta Piotrkowa, jest to prawdziwe dobrodziejstwo; z samych już bowiem higienicznych względów, niejedna z nas nie mogąc znaleźć czasu na codzienny 2-godzinny co najmniej spacer, ma sposobność zastąpić takowy na półgodzinną lekcję konnej jazdy, który to sposób spędzenia czasu ma jeszcze tę dogodność, że wyrabia siłę mięśniową i zręczność. Dzisiaj lekcje te nie dla każdej kieszeni dostępne (po kop. 75 godzina), mogły by kosztować znacznie taniej (np. po kop. 50) o ile nam się zdaje, gdyby liczba ekwilibrystów znacznie się powiększyła, czego dla ogólnego pożytku bardzo byśmy sobie życzyli.

— **Dwa stroniectwa** wśród radomskowskich wyznawców Majjesza, stoczyły ze sobą zaciętą walkę. — Biorąc stronę rabina Nasielskiego, przeciwko Górno-Kalwaryjskiemu rabinowi Hermolinowi, w nocy z dnia 5-go na 6-go t. m. o godzinie 3-ej napadli na dom Hermolina i wyłamawszy okna poniszczyli i potłukli w domu wszystko, co im pod rękę popadło. — Przywódca bandy był zamaskowany, a zażartych husy-

## NAUCZYCIELKA

SYLWETKA.

Jesień... Potoki deszczu spływają z rozżalonych niebios na naszą biedną, kartowaną ziemię. Wichry nie mogą sobie znaleźć wolnego przejścia pośród ścieśnionych ulic miasta, świszcze przeraźliwie. Woda, padająca z rynien, dziwnie smutnym echem odbija się o kamienne płyty chodnika... Cała natura jakby się uwzięła zepsuć ci tego wieczoru humor, jeżeli go miałeś, albowi też przyprowadzić cię o czarną melancholiję, jeśli byleś w złem usposobieniu.

W dniu takim najlepiej jest siedzieć w domu, wygrzewając się leniwie przed kominem. Ta cisza, panująca w twoim gabinecie, to miłe ciepło, rozchodzące się po całym pokoju, jakże rozkosznymi ci się wydają w porównaniu z owym nieznośnym jęczaniem wiatru, z owym paskudnym deszczem, którego plusk dochodzi niekiedy do twego ucha! A jeżeli w dodatku przyjdzie ci na myśl, ile to ludzi jest w tej chwili narażonych na wszystkie nieprzyjemności aury dzisiejszej, wtedy, gdy ty sobie w najlepszym używasz ciszy i spokoju przy kominowym ogniu, jesteś zupełnie szczęśliwy. Nędzna natura ludzka! Nie wszyscy jednak

mogą tak mile przepędzać czas niepogody...

Czy bardzo cię przeraża, łaskawy czytelniku, myśl wyjścia w podobnych warunkach na ulicę? Jeżeli tak nie jest, to proszę zamną.

Wychodzimy więc. We drzwiach przeciwnego domu pojawia się biednie odziana kobieta. Światło, padające na nią od pobliskiej latarni, pozwala nam przyjrzeć się jej dokładnie. Na sympatycznej i snadź przedwześnie zawigdłej twarzy, widać jakby jakieś zniechęcenie. Kobieta ta wiele musiała przecierpieć w swoim życiu. Mówią to jej znużone, przygasłe oczy, oraz licznymi zmarszczkami pofalowane czoło. Rysy regularne i pewną szlachetnością nacechowane, zdradzają minioną bezpowrotnie piękność, a ruchy ociężałe i niepewne, trawiące ją wewnątrz chorobę. Ale co znaczą te gorączkowe rumieńce, zabarwiające jej policzki? Zagadka łatwa do rozwiązania. Nieznajoma jest suchotnicą...

Posłuchajcie teraz jej historii.

Bohaterka moja urodziła się... mniejsza o to, gdzie i kiedy... dość, że w przeszłej wioseczce, położonej u podnóża gór Świętokrzyskich. Ojciec jej był sobie poczciwym z kośćmi obywatelom ziemskim, a matka najlepszą i najzaciejszą niewiastą. Małenka Józia wbrew oczekiwaniom rosła i chowała się zdrowo, osładzając swym niewinnym

szebiotem życie rodzicom i domownikom. W dziesiątej wiosnie oddana została do miasta na naukę, w której niemałe czyniła postępy. Młody jej umysł, żądny coraz to nowych wrażeń, z chęcią chwycił te okruszyny wiedzy, które jej udzielali miejscowi profesorowie.

Po powrocie z pensji, szesnastoletnie dziewczę dorwało się przypadkiem do biblioteczki ojca, składającej się przeważnie z utworów powieściowych. Poetyczna jej dusza lubowała się w sentymentalnych rycerzach i pełnych grozy sytuacjach miłosnych. Jak widzimy więc, powieściopisarze współcześni znaleźli grunt dobrze przygotowany. Czego nie dokonały poufne rozmowy z koleżankami i samotne marzenia o szarej godzinie, to miała zdziałać biblioteczka ojcowska.

Półknawszy wszystkie powieści, znajdujące się w domu rodziców, stało się, że wkrótce Józia nie była już z tego świata. Nie oznacza to bynajmniej, aby zakończyła życie. I owszem, żyła, ale w czarownym świecie fantazyi, tak odmiennym od tego, który jej rzeczywistość dać mogła!

Każdy łatwo to pojmie, że stan podobny nie bardzo korzystnie musiał oddziaływać na jej zdrowie. — Schła więc i bladła nieboga, snując w młodocianej głowie świetlane marzenia o nim, o tym wybranym ry-

tów nie odstraszył nawet gruby neglizżony Hermolina, która wyskoczyła z łóżka, by nieść pomoc mężowi. Oboje małżonkowie ucierpieli niemało w tej walce, a jeden z napadających utracił w niej zegarek ze złotą dewizką. Oto do czego prowadzi fanatyzm i źle pojęte zrozumienie religijnych obowiązków.

— **Trzynaścioro!** We wsi Bujny Szlacheckie w p. Łaskim, mieszka, jak nam donoszą, kolonista niemiec, nazwiskiem Heimens, wieku lat około 40 dopiero, którego małżonka lat 30-tu miała już 13 potomstwa! Co rok — jest prorok; a przed trzema laty naraz przyszło na świat trzech proroków, z których dwóch zostaje przy życiu i chowa się bardzo ładnie. Z trzynaściora urodzonych — żyje tylko ośmioro. Rodzina Heimensów zażywa pomiędzy kolonistami okolicznymi jak najlepszej opinii, cieszy się wielką ich sympatją i żyje na kilkunastu morgach ziemi w ciągłej pracy, zabiegliwości, gospodarności i zgodzie. Słowem — możemy ją postawić za przykład naszym czytelnikom i czytelniczkom.

— **Ostrzegamy** rodziców i opiekunów, aby, podczas przedwieczornych zamiejskich w tym czasie wycieczek, nie pozwalali swym pupilon siadać na ziemi lub trawnikach; jest to bowiem pora, w której nader łatwo się można zaziębić i nabawić przez nieostrożność uporczywej febry, malarii, lub co gorzej, tyfusu.

— **Z Zawiercia** donoszą nam co następuje: Główna ulica nasza została wreszcie środkiem kamieniami wyłożona i szlaka zrównana, co było dla mieszkańców rzeczą nader pożądaną. Gdyby tak jeszcze wozy wywożące nieczystości — a zbudowane według pierwotnego czy przedpotopowego wzoru, z nieodłącznym kubelkiem, kształtu łyżki wazowej, zawieszonym na nich, zastąpiono aparatami Bergera — a zawartość ich polecono wywozić bocznymi i mniej ludnymi uliczkami, ogromnie by na tem Zawiercie zyskało. Nie mówiąc już o wstrętnym widoku, jaki sprawia obecnie praktykowany zwyczaj wywożenia i blizki skład nawozu, zdrowie mieszkańców narażone jest na szwank wskutek zepsutego powietrza i niezdrowych wyciewów, do tego stopnia, że w lecie okien otwierać nie sposób, by zepsutego w powietrzu na gorsze jeszcze, uliczne nie zamienić; niepożądaną gość, cholera — grozi nam wciąż; wiadomo zaś, że najdzielniejszym jej wrogiem jest porządek, zdrowe i świeże powietrze.

Drugą zarówno ważną, pod względem sanitarnym, dla Zawiercia sprawą, byłby baczniejszy nadzór nad jatkami i cechowanie sztuk bydła zrewidowanych i na zabicie przeznaczonych: tym tylko sposobem unikniemy by nadużyć, a niesumieniami rzeźnicy nie mogliby zrewidowanej zdrowej sztuki, zamieścić po dokonanej rewizji na chorą — lub mięsa chorych bydląt sprzedawać mieszkaniom. Mówiono tu wiele, nie dalej jak w styczniu, o tem, że spożyliśmy krowę podejrzaną o wściekliznę i wskutek tego zastrzeloną w lesie. Przyznam się, że myśl to była arcy niemą, nie też dziwnego, że w tej mierze pragnęlibyśmy ulepszeń i baczniejszego nadzoru.

— **Fabryka lokomotyw.** Wobec znacznie podwyższonej opłaty celnej za maszyny parowe, przywożone z zagranicy, jeden z poważniejszych niemieckich przemysłowców postanowił założyć w Sosnowcu wielką fabrykę lokomotyw. Projektowana fabryka będzie wyrabiała lokomotywy wyłącznie na użytek kolei żelaznych w obrębie Cesarstwa i Królestwa. Wiadomość te miejscowi przemysłowcy cytują jako fakt dokonany.

— **Obecną komunikację** towarową między Opocznią a Tomaszowem, „Kuryer Poranny” tak opisuje:

Miasta te dzieli tylko 25-a wiorstowa odległość, a jednak transporty przebiegają drogą tę aż po 4-ch liniach kolei żelaznych. Towar np. wysłany z Opoczna idzie do Iwangrodu, a stąd Nadwiślańską do Pragi, następnie obwodową i Wiedeńską do Koluszek, a na koniec wraca na linię Dąbrowską i dostaje się do Tomaszowa... W ten sposób już przesłano kilka transportów wina. Pochodzi to stąd, że na odnodze z Koluszek, jeszcze nie został otwarty ruch między Opocznią a Tomaszowem. Przyznać jednak trzeba, że w ten sposób towary ekspedycyonalne można chyba tylko dla faceciji.

— **Projekt nowej drogi żelaznej** fabrycznej z Łodzi przez Zgierz, Ozorków, Łęczycę do Kutna, wchodzi znowu na porządek dzienny. Linija ta była dawniej projektowaną; obecnie „Dziennik Łódzki” dowiadyuje się, że o koncesyję odnośną stara się p. Władysław Cohn z Tomaszowa, którego podanie, odpowiednio motywowane znajduje się już w ministerjum komunikacyi, celem bliższego zbadania sprawy. Nowa droga miałaby długości około 60 wiorst a przebiegając przez okolice zasiane fabry-

kami, byłaby nader ważną dźwignią dla przemysłu krajowego.

— **W Tomaszowie** odbyło się posiedzenie oddziału Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Na porządku dziennym zebrania, pomiędzy innymi, była kwestya udziału przemysłowców tomaszowskich w tegorocznej wystawie warszawskiej. Postanowiono wnieść własnym kosztem odpowiedni budynek, którego koszt wyniesie 300 rs. Co do kwestyi wysyłki towarów do Władystoku i innych miejscowości, przez pośrednictwo Towarzystwa żeglugi parowej i handlu, uchwalono odnieść się do łódzkiego oddziału towarzystwa, aby wspólne w tej mierze kroki poczynić.

— **Podręczniki do wykładu religii rzymsko-katolickiej.** „Warsz. Dniw.” donosi, że minister oświaty polecił p. kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego, ażeby nadał podręczniki do wykładu religii rzymsko-katolickiej, przeznaczone do użytku w średnich zakładach naukowych, były rozpatrywane przez radę kuratorską i żeby opinije rady w tym przedmiocie były przedstawiane do zatwierdzenia p. ministrowi.

— **Przemysł szeszećcinowy** w innych okolicach Królestwa mało rozwinięty a mogący jednak, przy należytem traktowaniu go, zapewnić rolnictwu poważne zyski, na Podlasiu — ak donosi „Dziennik Łódzki” — nader pomyślnie się rozwija. Stolicą jego jest Międzyrzec, gdzie znajdują się trzy fabryki (sortownie), zatrudniające około 60 ludzi. Handel szeszećciną w Międzyzecz oblicza się wysoko.

Wyróż zagranicę szeszećciną z Cesarstwa i Królestwa wynosił w r. 1884 zaledwie 155,000 pudów wartości 4,742,000 rs.

— **Rs. 3** złożył p. T. Chrzanowski w redakcyi naszej dla ubogich, zamiast proponowanej mu składowi na dar dla jednej z artystek.

— **Sprawozdanie** z czynności taniej kuchni w m. Piotrkowie za czas od 17 lutego (1 marca) do 20 marca (1 kwietnia) 1885 roku, czyli za trzeci miesiąc jej istnienia.

DOCHÓD.

	Rs.	kop.
1) Pozostało remanentu z m. lutego . . . . .	507	79 1/2
2) wpłynęło z nadatków . . . . .	—	17
3) za stłuczoną przez gościa szklankę zapłacono . . . . .		5
4) Ze sprzedaży: 1,525 obiadów całych, 909 porcyi zup, 134 1/2 porcyi mięsa, śledzi i ryb, 570 porcyi jarzyn i 6,339 porcyi czyli 1,059 1/2 funtów ohle-		

cerzu, który w dniu oznaczonym przyjedzie na cudnym rumaku, aby ją zabrać, jak swą... Tymczasem, jak na złość, nikt podobny się nie zjawiał. Przyjeżdżali wprawdzie od czasu do czasu konkurenci w postaci większych poczciwców zwabionych urodą i niezłą „oprawą” Józji; ale „kapryśna” panna odprawiała ich zawsze z kwitkiem. Bo i, powiedzcie sami, każdy z tych panów zajeżdża przede dwór w zwyczajnej sobie otobryce, a przytem wszyscy oni byli tacy jacyś prozaiczni, że... no! dość że niefortunni kochankowie dawali zwykle za wygraną. Rodzice gryźli się tem niepomału, ale cóż było robić? Oponować rozpieszczonej jedyńaczce, było niepodobniestwem, tembardziej że swawolnica bardzo zręcznie umiała krzyżować matrymonijalne plany konkurentów!

Ale że wszystko na świecie musi mieć swój koniec, więc i na Józję przyszła Matyskowa kreska. Pewnego pięknego popołudnia, do skromnego dworku jej rodziców zawitał na dziarskim rumaku ślicznej urody młodzieniec. Młodzieńcem owym był pan Bronisław, dziedzic sąsiedniej, porządnie już obdłużonej wioski, ale zato światowiec nielada, chociaż hulaka i utracyjusz także. Jednak pan Bronisław był najbardziej zbliżonym do ideału, nakreślonego w kapryśnej wyobraźni panienki. *Primo*, był młodzieńcem wielce, jak się to już wyżej rzekło, u-

rodziwym, i *secundo*... nader poetycznym. Bo czy znajdzie się na świecie człowiek, któryby tak ładnie deklamował ustępy z Mickiewicza lub Słowackiego? Czy ktokolwiekby inny zdołał tak efektownie wywrócić oczy przy odśpiewaniu arii: „O kwiatku mój!” Nie zaiste, to tylko jeden pan Bronisław potrafił! Oczywiście panna się rozpyślała.

Chociaż więc rodzice nie bardzo dowierzali charakterowi wybranego przez córkę młodziana, ale i tu niezłomna wola „pieszczoszki” zwyciężyła wszelkie przeszkody. Ergo idealny Bronisław, pewnego pięknego wieczoru, stał się dożywotnym towarzyszem sentymentalnej Józji...

Reszty się zapewne domyślacie. Mąż był nadto lekkomyślnym, aby mógł uchronić siebie i żonę od niechybnej ruiny, a żona nazbyt mało praktyczną, aby przewidzieć nieszczęście, wiszące jak miecz Damoklesa, nad ich głowami.

Nie zważając na niepomyślny stan interesów, pan Bronisław puścił się wraz z małżonką w podróż poślubną do... Paryża. Tutaj w przeciągu lat kilku utracił nie tylko resztki swojego mienia, ale i posag żony. Tymczasem w miarę zmniejszania się środków, dzieci przybywało coraz więcej. Jednocześnie prawie z wieścią o ruinie, nadzedeł z kraju telegram, zwiastujący śmierć

ojca naszej bohaterki. Trzeba było czempredzej powracać do kraju. Przystąpiwszy progi rodzinne, Józja zastała już matkę na marach. Biedna starszka, umarła z żalu za ukochanym mężem. W tym samym czasie pan Bronisław dowiedział się, że po rodzicach żony nie mu nie pozostało, gdyż teść jego przed śmiercią wdał się w niebezpieczne spekulacje, które go doprowadziły do ruiny.

Czy myślicie, że czuły mężulek, mając ręce zdrowe do pracy, wziął się czempredzej do naprawiania błędów swojego żywota? Ale, gdzie tam! On, który ani razu nie zadał sobie trudu obejrzenia własnego gospodarstwa, on, pan z panów, miałby teraz w pocie czoła pracować na utrzymanie żony i dzieci? Przenigdy!

Na szczęście okazało się, że pani Józefa posiada nieźle parę języków obcych. Nie chcąc więc narażać siebie i całej rodziny na śmierć głodową, biedna kobieta chwyciła się, jak ostatniej deski zbawienia, gorzkiego chleba nauczycielki. Odtąd szlachetna niewiasta dziesięć godzin dziennie przepędza na lekcjach, resztę czasu poświęcając karmieniu najmłodszego dziecka i nauce starszych.

A mąż... No! mąż został... przyjacielem pozłacanej młodzi, z czem mu jest bardzo dobrze. Cóż, kiedy „ukochana” małżonka coraz bardziej słabnie na siłach i pewnie już długo nie pociągnie.

ba, otrzymano rs. 279 kop. 87 $\frac{1}{2}$ , a że należność za 31 obiadów naprzód opłaconych w kwocie rs. 4 kop. 3 wpłynęła do kasy taniej kuchni w miesiącu lutym, zatem w miesiącu marcu ze sprzedaży jedzenia wpłynęło . . . . . 275 84 $\frac{1}{2}$

- 5) dochód za wydane służbie 186 obiadów . . . . . 24 18  
6) Za wykupione na m. Kwiecień 32 obiady . . . . . 4 26  
7) ze sprzedaży marek . . . . . 8 42

Razem dochód wynosi 820 72

#### ROZCHÓD.

- 1) Wydatki z poprzednich miesięcy zrealizowane w m. marcu, a mianowicie: za wzięte produkty rs. 37 kop. 69, za naftę i świece rs. 3 k. 74, za śniadania dla służby rs. 5 k. 4, pensja służbie rs. 22 k. 67, razem . . . . . 69 14  
2) Na kupno produktów i chleba\*) w m. marcu wydano . . . 210 80 $\frac{1}{2}$   
3) Koszt wydanych służbie obiadów . . . . . 24 18  
4) Wydatki na śniadania i kolacje dla służby w m. marcu . . . . . 8 26  
5) Pensja służbie za m. marzec i zadatki dla nowozgodzonych . . . . . 12 13  
6) Na oświetlenie i utrzymanie porządku w T. K. wydano . . . . . 2 12 $\frac{1}{2}$   
7) Na kupno sprzętów kuchennych . . . . . 11 22  
8) Drobnie wydatki . . . . . 2 20 $\frac{1}{2}$   
9) Na wrota z okuciem do chlewu i składu węgla . . . . . 14 13

Razem wydatki wynoszą 354 19 $\frac{1}{2}$

A zatem w końcu m. marca pozostaje w kasie Taniej Kuchni 466 52 $\frac{1}{2}$  a mianowicie gotowizną rs. 416 kop. 12 $\frac{1}{2}$ , markami rs. 50 kop. 40. Oprócz tego Tania kuchnia posiada inwentarz wartości rs. 488 kop. 56 $\frac{1}{2}$ , i rewanż w produktach, węgla i drzewie, wartości rs. 82 kop. 76 $\frac{1}{2}$ .

Wydatków zaś do zaspokojenia nie pozostało żadnych.

Z zestawienia cyfr za miesiąc sprawozdawczy okazuje się, że w m. marcu koszt na przygotowanie jedzenia wynosił:

- 1) pozostały z m. lutego rewanż produktów, węgla i drzewa wartości . . . . . 129 97  
2) kupiono w m. marcu produktów za . . . . . 210 80 $\frac{1}{2}$   
3) koszt utrzymania służby, jakoto: pensja i jedzenia dla niej, jak również koszt oświetlenia i utrzymania porządku w lokalu T. Kuchni wynosi 46 69 $\frac{1}{2}$

Ogół więc wydatków stanowi . . 387 47

A że dochód ze sprzedaży obiadów i oddzielnych porcji jak również i z wydanych służbie obiadów przyniósł rs. 304 k. 5 $\frac{1}{2}$ , i pozostało na m. kwiecień rewanż w produktach na rs. 82 kop. 76 $\frac{1}{2}$ , czyli razem . . . 386 82

Zatem T. Kuchnia w m. marcu na przygotowanie jedzenia, nie licząc lokalu i wartości z użytkowania utensyliów, poniosła straty . . . . . — 65

Strata ta pochodzi jedynie z niskiej ceny obiadów składających się z 3-ch dań i z tego powodu, poczynając od 20 marca (1 kwietnia) Komitet Taniej Kuchni cenę takich obiadów podwyższył do 15 kop.; jedzenie zaś dla ubogich wydawane będzie po cenach dotychczasowych tj. po 3 kop. za porcję zupy lub jarzyny.

Członkowie Komitetu:

J. Kleszczońska. Gustowski.  
L. Libicka. J. Olewiński.  
J. Mianowska. Zaleski.

(\*) Na kupnie chleba otrzymała T. K. od p. Krügera rabat w ilości rsr. 3 kop. 58.

## Z Częstochowy.

d. 20 kwietnia 1885 r.

I bogom wolno porzuciwszy prace,  
Którymi rzezy sprawują podobne,  
Na skryte czasem umknąć się pałace,  
Odłożyć myśli choć wszystkim potrzebne,  
A mając wdzięczny odpoczynek zyskiem  
Pozwolonym się zabawię igrzyskiem.

Takim był prolog miany przez nieznanego poetę w urządzonym teatrze na cześć Jana Sobieskiego i jego żony Maryi Kazimiery, w obecności królestwa, w gronie znakomitych panów i dworu patrzącego, za szczęśliwy powrót i zaszczytnie zawarty traktat z Turkami w Żurawnie w 1676 roku. (K. W. Wójcicki: „Teatr starożytny w Polsce,” tom II.)

Dlaczego i częstochowianie po całodzienniej pracy, nie mieli paru godzin przepędzić na rozrywce? Chodzili też na przedstawienia pod egidą p. „prezesa.”

Obecnie jego miejsce zajął „teatr żydowski.” Bawią się i bawili, o ile ich duch chce wrażeń, wyobraźnia żadna „pieprzyku” i całe ich moralne usposobienie na to pozwalają. Wzamię, reżyserja dbała troskliwie o dobór sztuk, o precyzyję wykończenia, akcentowanie équivoqué'ów i energiją tańca francuzkiego!

Czyż to nie dosyć? Wreszcie jakżeby można wymagać więcej, wobec do szpiku zepsutej części społeczeństwa? Trzeba przecież trafić do gustu pierwszorzędnym krzesel i galeryi—bo te robią kasę!

Porzucam scenę, a zwracam swe spostrzeżenia na zakulisowe życie pewnego prowincjonalnego grona artystycznego, co tem łatwiej mi przychodzi, że znajomość kilku dyrektorów ułatwiła mi poznanie etycznej trup ich wartości.

Przyjeżdżają oni do nas zazwyczaj godni pożalowania pod względem materyjalnym—no, i na zbytek uposażenia ducha narzekać także nie mogą.

Znajomość zawiązują bardzo łatwo; niektórzy nawet narzucają się natrętnie, a strzeż Boże poznać ich bliżej! Znajomość z jednym, pociąga poznanie całego towarzystwa; odbiera się zaraz jeneralne pozwolenie na wstęp za kulisy — po spektaklu zaś na kolacyjkę z damami, pożyczkę pieniędzy i cały zastęp tym podobnych przyjemności, których koroną jest.. wizyta lekarza.

Dla miłego grosza, dla dobrego śniadania lub kolacyjki, panowie ci decydują się poznajamić każdego bez różnicy narodowości, ze swojemi żonami, siostrami, kochankami, a nawet i... córkami! Są nawet i tacy, którzy ułatwiają z niemi randes-vous.

I to być mają kapłani sztuki, krzewiciele czystości języka (którym niestety słabo władają)—mają oni apostołować moralności obyczajów!

Finis coronat opus: gdy wyjeżdżają — składajcie ruble na szczęśliwy wyjazd!

Chęć przerwanie tego kataklizmu, zarówno jak ożywienia towarzyskich naszych kółek powinny wpłynąć na miasta, by urządziły u siebie stałe amatorskie przedstawienia, dawane choćby co miesiąc. Zyskalibyśmy czas uczciwie przepędzony i niejedną otartą łzę z dochodu za bilety. Część zysków odkładać by można na dekoracje i bieżące potrzeby—słowem trzymać się dobrych zwyczajów, niektórych miast galicyjskich.

W zamian, społeczeństwo zyskałoby nie mało owieczek zbłąkanych, niemało rąk do pracy!

Rekrutacja do teatru szwaczek, pokojówek i całej falangi z klasy rzemieślniczej, praktykująca się obecnie między artystami nie miałaby miejsca—pozostaliby prawdziwi wybrańcy sztuki, ożywni ogniem Prometeusza i godni przedstawiciele Melpomeny i Talii. Prawdziwy talent zawsze znajdzie wśród nas środki do kształcenia się.

Częstochowianie, chcąc snąć zapobiedz wyrażanej im krzywdzie przez tego rodzaju moralne i pieniądze wyzyski, zebrali kółko

ludzi dzielnych, którzy zajęli się teatrem amatorskim, dla dawania co dwa tygodnie szeregu przedstawień, na cele filantropijne. Szlachetnemu postanowieniu przyklasnąć należy; oby tylko na jego spełnienie niedługo czekać nam przyszło. O ile wiem, sztuki są wybrane — role porozdawane — amatorowie już je umieją, czekają tylko sygnału p. zarządzającego. Reżyserem jest p. Grabowski, nie mogący się nachwalić zdolności swoich elewek i elewów. Niewątpimy szanowny profesorze—zaczne amatorki — nieustraszeni amanci i ty admirał, inspicjencie, że z przedstawień będziemy zadowoleni, a co najważniejsza, że za trudy wasze i talent błogosławieństwo od cierpiącej ludzkości odbierzecie.

Ochoco tylko i rażno zabierzcie się do dzieła!

Wspomniałem „admirala” i zaraz mi przyszły na myśl łódki na naszej rzece. Nie śmiecie się czytelnicy z częstochowskiej nawigacyi. Mamy pięć łódek, plus-minus rasowych, lecz służą one tylko pięciu wybrańcom; im tylko wolno używać przyjemności wiosłowania, oddychania świeżem powietrzem, i umykania z niepolewanych ulic, z masą kurzu osiadającego na naszych płucach i zasypującego nam oczy.

Nasi wioslarze wytrwali są od innych, bo już w dniu 6 kwietnia wywiesili flagę i otworzyli żeglugę. Na otwarcie sezonu między innymi byłem i ja zaproszony. Przy śpiewie i kieliszku, w zamkniętem kółku obchodziliśmy uroczystość. Pan K. (wioslarz), dożów weneckim zwyczajem, zamiast wrzucić pierścień do wód Adryjatyku, wylał kielich staropolskiego miodu dla pobratania się z kokieterijną naszą Wartą; zaznaczył przytem, że hegemoniję w życiu utrzymać można dzięki higienie, a więc gimnastyce i wiosłarstwu. One tylko spartańczyków dać nam mogą.

Więc brawo wioslarzel! żęćcie się najprędzej, abyście nam dużo zdrowych i czestwych spartańczyków dostarczyli.

## SZKOŁY PIOTRKOWSKIE.

### XX.

Okres VII. Od utworzenia Królestwa Polskiego, t. j. od r. 1815, do 1833 r.

(Dalszy ciąg wspomnienia Kazimierza Stronczyńskiego patrz № 16).

Wykład Fizyki rozpoczął się w klasie 3-iej. W roku 1819/20, prowadził go ks. Wittman, trzymając się w tym względzie jakiegoś zapewne w poprzednich latach podyktowanego poszytu, który uczniowie własnoręcznie zaraz na początku roku przepisać sobie musieli. Jeszcze bowiem Fizyka ks. Jana Bystrzyckiego nie była wyszła z druku. Były to tylko ogólne wiadomości o własnościach ciała, rozciągłości, nieprzenikliwości, skupieniu i t. d. — Nauka o ciepłiku i termometrach kończyła 3-iej klasy wykład. — W 4-iej klasie będąc, mieliśmy już drukowaną ks. Bystrzyckiego fizykę i ta nauka szła mi wówczas nierównie łatwiej; przechodziliśmy własności powietrza, działanie elektryczności i trochę mechaniki, traktującej o siłach, co wszystko wykladał wówczas wyżej już wymieniony ks. Kiełbiowski. Wykład ten był systematyczny, ale nieledwie pamięciowy, szkoła bowiem, oprócz dwóch machin elektrycznych z należnemi przyborami i bardzo niewygodnej maszyny pneumatycznej o jednym walcu, żadnych narzędzi fizycznych nie miała. Uczniowie jednak robili sobie elektrofory i butelki Lejdejskie, więc po bieżne przynajmniej pojęcie o działaniu elektryczności powziąć mogli.

Z wykładów ks. Erazma Krasuckiego pamiętam tylko język grecki. Nauka onego zasadzała się wówczas na samem jedynie czytaniu i odmienianiu słowa „typto”, które każdy z żyjących jeszcze ówczesnych uczniów

pewnie do dziś dnia pamięta. Ks. Krasucki był spokojnym i łagodnym profesorem, uczniom się nie naprzykrzył, ale też nie wiele od niego korzystali. Zdaje mi się, że do niego także historia i geografia należała, ale tego nie jestem pewny. Po wyjściu z Piotrkowa był później profesorem w Włocławku, gdzie pozostawał aż do odebrania ks. pijarów zarządu szkół publicznych.

Nauka języków nowożytnych, francuzkiego i niemieckiego, stała wówczas w tutejszej szkole na dosyć niskim stopniu i do postępu w nich mało wówczas przywiązywano znaczenia; znał je oba do pewnego stopnia nauczyciel, a jak go nazywano profesor *Maciejowski*, i mógł nauczyć pierwszych zasad gramatyki, mógł nawet doprowadzić do rozumienia francuzkich lub niemieckich książek, ale o właściwej każdemu z tych języków składni i używaniu czasów w piśmie i mowie trudno było z jego wykładu powziąć wyobrażenie. Miał przy tem prostą, że tak powiem krakowską do francuzkiej lub niemieckiej nie podobną, wymowę, ale na to wówczas nie zważano. To też z uczniów piotrkowskich ci się tylko oba tych języków lepiej nauczyli, którzy po za szkołą mieli w nich praktykę.

W ostatnim roku mego w Piotrkowie pobytu, skasowano szkolny wykład francuzkiego języka. — Znaczna jednak część uczniów umówiła się z prof. *Maciejowskim* o udzielanie dalej tych lekcji, za oddzielnem wynagrodzeniem, ku czemu szkolne klasy w dniach rekreacyjnych były dla nas otwarte.

Do wykładu obu języków służyły wówczas jako podręcznik: „*Gramatyka francuzka i niemiecka ks. Kajetana Kamińskiego*”. Były przytem słowa, oraz wypisy francuzkie i niemieckie, które uczniowie oznaczali nazwą wyrazów: „*Les poëtes*” i „*der Ackerbau*”. — Prof. *Kotschula* w wykładzie niemieckiego trzymał się własnej gramatyki, ale ten w klasach, gdzie byłem, żadnej nie dawał lekcji. Z widzenia go tylko znałem.

O rysunkach i kaligrafii nie ma co wspominać, lubo oba te przedmioty miały tutaj w ostatnich latach odpowiednio uzdatnionego nauczyciela. — P. *Kaźmierz Okulicki* rzeczywiście pięknie pisał i pięknie rysował; że jednak był młody i niewielkiego przytem wzrostu, uczniowie, nie mający ani zdolności ani zamiłowania do rysunku, mało na niego uważali, a dokazując w klasie, jak zwykle hałasliwie, wywoływali jego aż do ks. rektora zażalenia. I raz pamiętam, jak w skutku takowych ks. rektor, zszedłszy do klasy z niezwykłą sobie surowością większą część uczniów 4-ej klasy ukarał.

Z lekcji rysunków i z tego jeszcze powodu nie można było należeć do tutejszej szkole korzystać, że w niej wzorów do rysowania zupełnie brakowało i każdy z uczniów sam sobie takowe obmyślać musiał. — Byli jednak niektórzy nienajgorzej rysujący, a celował między nimi jeden z dwóch braci *Gierowskich* z Wielgomłynów, o którym po opuszczeniu szkół piotrkowskich już wcale nie słyszałem. — Nieraz mu zazdrościłem rysowniczego talentu, sam bowiem do rysunku wielką zawsze miałem ochotę.

*Okulicki* z końcem roku 1822/23 opuścił Piotrków i był potem przy szkole wojewódzkiej ks. pijarów przy ulicy Długiej w Warszawie, tutaj zaś jego miejsce zajął wyżej wspomniany *Wincenty Rzewuski*.

W pierwszym roku mego pobytu w szkołach piotrkowskich, to jest jeszcze za czasu ministerjum *Stanisława Potockiego*, wojewody, jedna godzina w tygodniu przeznaczoną była na naukę obowiązującej wówczas konstytucji, której na pamięć uczono w klasie 2-ej z wydrukowanej w tym celu osobnej książeczki. Kiedym na rok następny przeszedł do tej klasy już tylko jednej takiej lekcji wysłuchałem, bo zaraz z objęciem teki oświecenia przez hr. *Stanisława Grabowskiego* ten wykład skasowano. — Rzeczywiście, jaki mógł być cel onego, trudno

odgadnąć, chyba nauczanie młodzieży konstytucji, tak jak katechizmu na pamięć. To prawda, że pierwszy zaraz jej artykuł głosił:

„*Królestwo Polskie jest nazawsze połączone z Cesarstwem Rosyjskiem.*”

Jedną także godziną w tygodniu, mianowicie ostatnią przedpołudniową, w dzień wtorkowy przeznaczoną była na publiczne czytanie gazet. W tym celu łączyły się z sobą starsze klasy 4-a i 5-a razem z jednego auditorium, a młodsze 1-a, 2-a i 3-a do drugiego i jeden ze starszych uczniów, w obecności profesora, czytał zebranym „*Gazetę Warszawską*” lub gazetę „*Korespondent*” z całego ubiegłego tygodnia. — Nie wiem jak to starszych zajmowało, dla mnie 8-o letniego chłopca było wtedy straszliwie nudnym. Sześciem, że sprawy z tego słuchania nie żądano. Czytanie to prawie jednocześnie z wykładem konstytucji ustało.

W szkołach piotrkowskich każdy uczeń miał obowiązek wstać z rana o 5-ej godzinie, i ci którzy pod bliższym po stancyjach znajdowali się dozorem w dopełnianiu tego obowiązku byli pilnowani. W rzeczy samej umyć się, oczyszczenie obuwia i sukien pewien czas zajęło, a mało było takich, którzyby się w tym względzie jakimś chłopczkiem wyręczyć mogli. Wreszcie i lekcje niektóre trzeba było sobie jeszcze powtórzyć. W każdym razie zaraz po 6-ej dzwonek z wieży pijarskiej zwoływał uczniów na mszę, której codziennego słuchania bardzo ściśle przestrzegano. Po mszy około 7-ej każdy wracał na śniadanie do domu. — Zaraz po śniadaniu korepetytor, a jak wówczas nazywano dyrektor, razem ze swymi uczniami na stancyi będący, wysłuchiwał ich z naznaczonych lekcji, i o 3 kwadransie na 8-ą szedł razem z nimi do klasy i razem z nimi o godzinie 12-ej wracał na obiad. Tak samo odprowadzał ich i przyprowadzał w godzinach po południowych lekcji, od 2-ej do 4-ej.

Wszystkie ówczesne lekcje były jednogodzinne, o godzinie 10-ej przed południem, to jest między 12 a 3-ą szkolną godziną dawana była uczniom 10 minutowa pauza.

Dwa razy w tygodniu czas popołudniowy wolny był od lekcji, a wtedy, jeśli pogoda była po temu, dzwonek szkolny zwoływał uczniów na rekreację, na którą każdy z nich równie jak na lekcje szkolne stawić się musiał, a nieobecni powód nieobecności usprawiedliwić byli powinni. Na rekreacjach latem grano w piłkę, ekstrakmetę, albo palanta; zimą rzucano na siebie piłkami ze śniegu, czemu zawsze dwóch przynajmniej ks. profesorów towarzyszyło, i to była jedyna sposobność pomszczenia się na nich za doznana jaką karę kiedy; uczeń mógł porządnie piłką k-a profesora ugodzić, a byli tacy, którzy mieli siłę po temu i onej w takim razie wcale nie oszczędzali.

W latach szkolnych 1817/18 i 1818/19 rekreacyjnymi dniami były środa i sobota, później przemieniono je na wtorki i czwartki, na co niektórzy bardzo narzekali. Biedniejsi bowiem uczniowie, niezbyt daleko od Piotrkowa rodziców mający, korzystając z sobotniej rekreacji i nadchodzącej niedzieli, szli piechotą, zwłaszcza latem do domu, i tam się zaopatrywali w potrzebne na następny tydzień wiktuały. Służyła do tego spodnia część płócienna dolnego ubrania, której jedną nogawicę troskliwa matka wypełniała kaszą, a drugą grochem, a do części środkowej pakowała parę bochenków chleba i kawałek okras. Tak obciążony uczeń często, jeśli mu się nie nadarzyła okazyja, wracał pieszo do Piotrkowa w niedzielę na wieczór i przywiezione prowianty chował do osobnej skrzyni, zwanej szafarnią, z której sam kobiecie gotującej, co było potrzebne na obiad wydawał. — I ja z bratem przez trzy ostatnie lata pobytu w Wieluniu i Piotrkowie, będąc na swoim stole, mieliśmy

podobną szafarnię; tą jednak stara gospodyni, nam dana za kucharkę, bezpośrednio dysponowała.

Być może, iż takie oddalanie się niektórych uczniów z Piotrkowa w dni rekreacji sobotnich spowodowało przeniesienie czasu wolnego na inny dzień tygodnia. Tacy bowiem nie mogli być na obowiązkowym nabożeństwie w niedzielę, a tego bardzo skrupulatnie pilnowano.

(d. c. n.)

## NOTATKI POPULARNO-NAUKOWE i praktyczne.

— **Srodek przeciw księgosuszowi.** Jest temu lat czterdzieści, jak w sąsiedztwie wioski mojej wybuchła straszliwa zaraza bydła. Zamieszkiwał wtedy o półtora mil od mojego majątku obywatel ziemski bardzo poważany, bardzo bogaty i bardzo stary, J. M. P., który przebywał zwykle w mieście i nie ukazywał się w swych przepysznych dobrach, jak jedyńcy w lasie, przez ciąg dwóch lub trzech miesięcy. Byłem pewnego razu u niego, wraz z kilkoma sąsiadami; rozszalała się o spustoszeniach, jakie sprawia księgosusz.

— Otóż ja — powiedział starzec — gospodaruję już od pół wieku i, dzięki Bogu, nigdy mi się nie przytrafiło, aby było dotknęte, zostało zarazę. Każdej wiosny, przed pierwszym wypędzeniem na pastwisko bydła, potrzeba wykopać pomiędzy wierzejami obory a wrotami, przez które wypuszcza się bydło na pasiek, małe rowki szerokości i głębokości najwięcej 4 cale; w rowki te nalewa się po trzy dachmy męki kurkusa, który przykrywa się ziemią, pucem wypuszcza się na pasiek bydło. Gdyby było kilka obór, ab bydło przez kilka wierzei wychodziło, w takim razie owe rowki z męki kurkusa kopia się pod podmurowaniem każdego drzwi obory lub obór. Ten sam srodek powtarza się, gdy bydło na zimę powraca do obory.

Do tej rozumnej rady stosuję się od lat 40-tu i dzięki starcowi, który mi jej udzielił, nie było u mnie wypadku księgosuszu, pomimo iż w okolicy niejednokrotnie panował, a było setkami wypadków.

Powyższe słowa znalazłszy w „*Gazecie*” i na wiary tego pisma podajemy.

— **Wyborczy srodek osuszenia gruntów niskich, bagnistych, jest zaloszenie ich jesionem.** Pierwsze próby w tej mierze przedsięwzięli amerykańscy ze znakomitym skutkiem; obecnie w ślady ich wstępili Niemcy. Jesion potrzebuje wiele wilgoci; wysysa ją więc silnie z gruntu a sam rozwija się nader szybko i daje drzewo bardzo trwałe i pożyteczne. Drzewka stawiają się na powierzchni, a następnie korzenie obkładają się murem, który tworzy dość wysoki stozek dokoła drzewka; sadzi się jedno drzewko od drugiego o półtora metra, tylko trzeba dobrać drzewek prostych i silnych. Maj i czerwiec są najlepszą porą do sadzenia. Należy zasadać wprzód miejsca nieco wynioslejsze, a niższe dopiero wtedy, gdy tamte ściągają już z nich nieco wody. W ten sposób okolice podmokłe, do niczego niezbyt użyteczne i niezdrowe, można w krótkim czasie osuszyć, dochodząc do niezwykłego zasuszenia.

Zwracamy uwagę, że właśnie pora sadzenia jesionów nadchodzi. Można by u nas warto było skorzystać to, co już amerykańscy i Niemcy wypróbowali.

## ROZMAITOŚCI.

— **Monarchowie... literaci.** Pośród ukoronowanych głów czasów obecnych posiadają znaczną liczbę autorów. Na czele ich stoi królowa Wiktoryja, dalej król szwedzki Oskar II-gi, król portugalski don Luis, szach perski, królowa rumuńska Elżbieta, książę czarnogórski Mikołaj, cesarz brazylijski don Pedro II-gi i podobno król bawarski Ludwik. Z angielskiej rodziny królewskiej uależą przez tego do świata literackiego: następczyni tronu niemieckiego, książę edyńburski i synowie księcia Walii: Albert Wiktor i Jerzy. Oprócz tego zajmowali się też literaturą: następcza tronu austriackiego Rudolf (ten nawet w poważny sposób), książę Luęyan Bonaparte i inni członkowie panujących rodzin.

— **Imiona kobiece.** Jedno z pism dla kobiet zamieściło artykuł o imionach kobiecych obcych, w którym znajdujemy znaczenie, pochodzenie najwięcej używanych u nas imion: Aleksandra, imię greckie, znaczy — niosąca pomoc; Amelia, pochodzi ze staro-niem., znaczy — niebiańska; Aniela, z łac., znaczy — anioł; Anna, poch. z hebr., znaczy — łaska; Antonina, od mekiego Antoni, co znaczy po łac. — kwitnący; Barbara, z łac. — cudzoziemka; Cecylia, z łac. — niewidoma; Dorota z gr. — dar Boży; Emma, staro-niem., znaczy — matka; Eugenija, gr., znaczy — dobrze urodzona; Eufrozyna, gr., znaczy — wesola; Ewa, hebr., znaczy — dająca życie; Franciszka, staro-niemiec., znaczy — wolność; Gabryjela, hebr., znaczy — siła moja w Bogu; Helena, gr., znaczy — pociągająca; Irena, imię gr., znaczy — spokój; Józefa, hebr., znaczy — opiekunka Julija, łacińskie, zn. — długowłosa; Jadwiga, staro-niem., zn. — waleczna; Konstancja łac., zn. — wierna; Marta hebr., zn. — rozjaśniona; Marja, grec. Miriam, zn. — goryczą napelniona; Natalija, łac. zn. — miła

Paulina, łac., znaczy—mała; Stefania, gr., znaczy—myśląca; Teresa, z grec. Tirza, znaczy—przyjemna; Waleryja łac.—zdrowa; Zofija, gr., zn.—mądrość.

— **Nowela z życia.** Przed laty kilkadziesiąt, na jednej z nieistniejących już dzisiaj bocznych uliczek Pesztu, mieszkały dwie skromne mieszczańskie rodziny, z których jedna posiadała 12-letniego syna, druga 10-letnią córkę. Dzieci wzrastając razem, przywykły niebawem do tego, iż nazywano je mężem i żoną i żyły w przykładowej zgodzie. Naraz pewnego dnia Piotruś ujrzał towarzyszkę swoją rozmawiającą z synem sąsiada... Któż potrafi określić czas, w którym po raz pierwszy zazdrość w sercu człowiekiem się budzi?! Młodociany Otello rozpoczął z mniemanym swoim rywalem sprzeczkę, podniósł kamień z ziemi i rzucił w przeciwnika. Nieletnia Desdemona w tej samej chwili chciała wstrzymać rękę zapaleńca i padła, brocząc we krwi, ugodzona kamieniem w oko. Piotruś przerażony śmiertelnie uciekł i znikł bez wieści. Nieszczęśliwa ofiara przedwczesnej zazdrości postradała oko, a gdy odumarli ją rodzice, z trudnością zdołała się wyżywić... Przed tygodniem, w skromnej izdebce swojej, jednookiej staruszki, zjawia się nagle, pchylony wiekiem mężczyzna i padając jej do nóg objaśnia, iż jest owym gwałtownym Piotrusiem i, zdobywszy majątek w Indjach, przybywa połączyć się węzłem dożgonnym z tak strasznie przez się skrzywdzoną kobietą... Dzienniki peszteńskie ręką za autentyczność historii powyższej. Słusznie tedy powiedział jeden ze sławnych mężów Francji: „Nie ma nic nieprawdopodobniejszego nad prawdę!”

— **Świat się kończy!** Znana ze skandalicznego życia i skandalicznych turniejów z Sarą Bernhard aktorka paryżka Maryja Colombier, pisze dzieło „O enocie,” na konkurs o nagrodę Montyon'a. Jest to jeden z najbezpieczniejszych wybrków tego wynaturzonego życia, jakim od pewnego czasu żyją kobiety francuzki, a mianowicie paryżanki, które w ostatnich czasach trzem ładnym holdowaty modom. Najprzód piły krew jeszcze ciepłą zwierzęcą; następnie zastrzykiwały się morfiną pod skórę; a obecnie kąpią się w krwi ciepłej... Wystawmy sobie kobietę mającą odwagę wstąpić w taką krwawą ka-

piel i dziękujmy Bogu, że nasze niewiasty nie mogą się takiem bestyjalnem poszczycić bohaterstwem.

— **Wartość wyprodukowanego sera** w Szwajcaryi wynosi 62 miliony franków. W r. 1884 wywieziono sera szwajcarskiego do Francji 143,000, do Rosji 84,000, do Niemiec 69,000 i do Włoch 56,000 centnarów.

— **Kucharzowi ks. Bismarcka,** p. Eye, ofiarowali obywatele berliński złoty medal i pięknie wykonany dyplom, czcąc wdzięcznym sercem zasługi, jakie ten mistrz sztuki kulinarnej położył około ojczyzny, pielęgnując tak znakomicie drogi dla kraju żywot potężnego kanclerza!...

— **Na złodzieju czapka gore.** Redaktor dziennika, wydawanego w jednym z miast prowincjonalnych we Francji, ogłosił w swoim organie co następuje:

„Właściciel kawiarni, u którego w zeszłą sobotę dano mi zamiast wody sodowej, z sokiem owocowym, jakąś obrzydliwą trującą miksturę, będzie łaskaw za karę przysłać do redakcyi trzy butelki prawdziwego szampańskiego. W przeciwnym razie ogłoszonym zostanie w przyszłym numerze naszego pisma z imienia i nazwiska!”

Na drugi dzień redaktor otrzymał 36 butelek szampańskich w 12-tu partyjach.

Dodać trzeba dla informacyi, że w miasteczku znajdowało się — 12 kawiarni!...

— **Niwy zeszyt 248** wyszedł z druku i zawiera:

I) „Trzydzieści lat Traktatów Pokojowych,” przez Adama Darowskiego. — II) „Postęp, szczęście i rewolucja socyalna. Chłodne uwagi o palących kwestiach,” przez Wład. Mich. Dembickiego (dokończenie). — III) „Pozytywizm warszawski i jego główni przedstawiciele,” przez T. J. Choińskiego (dokończenie). — IV) „Z Niwy Powieściowej,” przez T. J. Choińskiego. — V) „Za pół miesiąca. Przegląd polityczny, XII,” przez (Ch.). — VI) „Sprawy bieżące, XIX,” napisał Choraży. — VII) „Przegląd literacki” 8) Jan Karłowicz. — Zasady etyki przez T. Ch. 9) Stanisław Zaleski — Kilka uwag prawnika o procesie Kraszewskiego przez, K. B.

## Licytacje w obrębie gubernii.

— W dniu 5 (17) lipca w tutejszym sądzie zjazdowym, na sprzedaż nieruchomości w m. Pabjanicach 1) pod № 196/435-A od sumy 145,000 rs; 2) pod № 453 od sumy 64000 rs.

— Tegoż dnia tamże, na sprzedaż nieruchomości w m. Łodzi pod № 10 od sumy 3800 rs.

— 28 czerwca (10 lipca) tamże, na sprzedaż nieruchomości w m. Łodzi pod № 819-a i 819-b przy szosie Miłsza, od sumy 10,000 rs., oraz nieruchomości pod № 819-kk, 819-ll, 819-mm, 819-nn od sumy 5000 rs., a także nieruchomości pod № 821-A od sumy 10,000 rs.

— 15 (27) kwietnia w kancelaryi leśnictwa Olkusz, we wsi Gołonogu, na sprzedaż drzewa powalonego przez burzę w 11 obrębach.

— 20 kwietnia (11 maja) w urzędzie gubern. petrokowskim, na przebrukowanie 8 ulic i 2 placów w m. Petrokowie od sumy 9196 rs. 7 kop.

— Tegoż dnia tamże, na reparacyja budynków Dominikańskiego klasztoru w Góllach, w powiecie noworadomskim, od sumy 1324 rs. 41 kop.

— 20 czerwca (2 lipca) w kancelaryi hipotecznej w m. Łodzi, na sprzedaż nieruchomości pod № 64 i przy ulicy Ogrodowej w m. Łodzi od sumy 4950 rs.

— 24 czerwca (6 lipca) tamże, na sprzedaż nieruchomości w m. Łodzi pod № 352 przy ulicy Średniej od sumy 18150 rs.

— 19 czerwca (1 lipca) tamże, na sprzedaż nieruchomości pod № 64-k w m. Łodzi od sumy 3150 rs.

— 23 kwietnia (6 maja) na Nowym-Rynku obok magistratu w m. Łodzi na sprzedaż skonfiskowanej pary koni z uprzężą i bryczką od ogólnej sumy 85 rs. in plus.

## O G Ł O S Z E N I A

### FABRYKA TABACZNA

### Towarzystwa A. N. BOGDANOW i S-ka W PETERSBURGU.

Poleca 3 nowe gatunki papierosów wyborowych

„Princessa” w cenie rs. 1 za 100 sztuk

„Bajaderka” „ „ kop. 60 „ „ „

„Szalost” „ „ „ 50 „ „ „

(R. i Fr. 3127)

(6—3)

Istniejące  
ZAKŁADY



od r. 1818  
MECHANICZNE

obecnie pod firmą

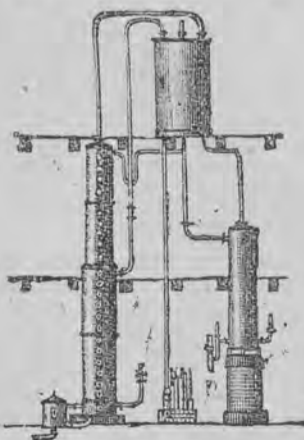
**Bormann Szvede  
& Temler**

w Warszawie Srebrna № 14,  
polecają się do kompletnych  
urządzeń lub przebudowań:  
BROWARÓW, GORZELNI  
i DYSTYLARNI.

Przeszło 100 gorzeln urzędziła powyższa  
firma w ciągu 10 ostatnich lat.

Plany, katalogi ilustrowane  
maszyn wysyłamy na żądanie.  
Najnowsze aparaty działające bez przerwy  
z regulatorem do pary systemu **Bor-**  
**manna.**

(R. i Fr. 13,339) (26—10)



MAGAZYN MÓD  
Skład pościeli i rozmaitych  
drobiazgów.

**K. JACEWSKIEJ**

w mieście „Petrokowie” wprost Cerkwi  
w domu W-go Kańskiego, przyjmuję  
suknie do szycia, oraz poleca  
kapelusze sezonowe w wiel-  
kim wyborze. (7—2)

### SKŁAD WĘGLI Włodzimierza Sapińskiego

przy rogu Aleksandryjskiej alei.

Sprzedaje węgle w dobrym ga-  
tunku z dostawą do drwalni po ce-  
nie: Korzec grubego wagi 240 zł.  
kop 85,—(rozsyła się w koszach  
1/2 korcowych wagi 130 zł.) Na miarę  
w skrzyniach zamkniętych przez  
magistrat warszawski opieczeto-  
wanych po 5, 10 i 20 korey, po  
83 kop. Na całe wagony z dostawą  
przed drwalnią, po cenach od-  
powiednich do cen kopalnianych.

Węgiel kowalski korzec po k. 70.  
Koks najlepszy zagraniczny pud 25  
k. (franko skład). Drzewny węgiel  
kurzony korzec rs. 1. W składzie  
sprzedaje się każda ilość. Zwózki  
węgla obcego dopelnia po rs. 5 za  
fur mankę od wagonu.

Zamówienia wszelkie należy robić  
w składzie z góry opłacając.

(13—2)

### DO WYNAJĘCIA

Karety, Powozy, Bryki na  
resorach i Konie.

Zamawiać można w składzie węgla  
**Włod. Sapińskiego,** na rogu  
alei Aleksandryjskiej, oraz w mieszkaniu  
i stajniach tegoż, w domu W-go Gołem-  
bowskiiego, ulica „Petersburska” wprost  
Poczty. Karety i powozy na wesela,  
chrzty, pogrzeby. Na spacery—wynaj-  
mują się na godzinę. Na balach publi-  
cznych na kursa. (13—2)

### Feliks Łuniewski

JEOMETRA PRZYSIĘGŁY  
KLASY II-ej

zawiadamia osoby interesowane, że po-  
zostawszy wolnym od zajęć rządowych,  
przyjmuje wszelkie czynności prywatne,  
jakoto:  **pomiary i klasyfikacje  
dóbr, podziały kolonijalne i  
płodoziemne tychże, urządzanie  
lasów, etc. etc. Adres: „Petro-  
ków”, ul. Moskiewska dom Spana,**

(0—14)

— Mam nadzieję dowieść pana, że nim jestem dotąd.

Rosen usmiechnął się, lecz zarazem ciężkie westchnienie podniosło piers jego.

— Przeciwnie pewnym ludziom odważa jest śmiać się, ale ostrzegam pana, iż powierzonej mi jest ta-  
mą, może... Lecz zwracając na nas uwagę, proszę po-  
dać mi pan rękę i wyjdźmy do ogrodu.

Henryk nie zrobił żadnej uwagi.

Idąc, Albert mówi dalej:

— Wprawdzie ugodziłeś się pan za drugo, 50,000  
talarów... — Wdzięczny pan byłbym się darmo pokazać.  
— Jestem bogaty—odpowiedział Henryk—które-  
goś cios zacytnął być wyzywającym; robie to, co mi  
się podoba.

Weszli do ogrodu, kierując się ku alei Gabrieli.

— Pani de Villiers—rzekł Albert—w sercu  
nie mam nienawiści. Złota kotora, m Pan skradł, nie  
zapłacił. — Daj nazwisko córce Elleney Talbot a przeba-  
czę ci.

— Kocham kuzynkę moją panie de Boistrudan—  
odpowiedział Henryk—nie mówmy więc o tem, jeżeli  
laska i, skoneczmy nasze zatarci... umowa nasza trwa  
dotąd.

— Zmiewczyłeś ja pan sam ucieczką, ale ja przy-  
staje na nią.

— Pojedynkę bez świadków.

— Rozumie się.

— Broń amerykańska.

— Wybierz sam wice-hrabio.

— Pani de Villiers myślał przez chwilę.

— Karabiny—rzekł—i noże, w razie zbliżenia się.  
— Mam to wszystko w moich powozach—rzekł  
Rosen.

W chwili, gdy zawracali, pan de Villiers spo-  
strzegł dwa powozy, stojące obok kraty.

— 173 —

— 176 —

Droga była ślizga, woda odmarznięta stała kału-  
żami. Ulica źle oświetlona była pustą zupełnie. Be-  
nedykt nakoniec stanął przed domem.

— Co też ci hultaje robisz?—myślał,—muszę zaj-  
rzeć do nich.

I głęboko wzdychając, dodał:

— Gdyby mi kto był powiedział wczoraj, że  
sprzedam piękną moją wille!.. Tak byłem spokojny!..  
powoli zbierałem pieniądze... Wprawdzie tak miło na  
nie patrzeć, bawić się nimi... Zapewne... zapewne...  
zawsze to jednak kłopot.

Zesiadł z kozła i otworzył drzwiczki.

— Wysiadaście próżniaki!—krzyknął głośnie.

Głębokie milczenie panowało w powozie.

Benedykt pochylił się, aby lepiej widzieć.

Ciepłe i słodkawe powietrze ścisnęło mu gardło.

Znał on je dobrze.

Nogi jego ugięły się pod ciężarem ciała.

— Czyż się nie pomordowali sami między sobą? —  
krzyknął.

Jakaż inna myśl przyjść mu mogła do głowy?  
Rzucił się do powozu i odjął latarnię.

Wziął ją w rękę, lecz stał, nie śmiejąc się po-  
ruszyć.

Nakoniec zbliżył się i zaświecił.

Krzyk przytłumiony, wydarł mu się z piersi.

Padł na kolana w rozpuszczonym śniegu.

— Towahl!..—szepnął i bladłość śmiertelna pokry-  
ła jego lica.

Ujrzał czterech bandytów, leżących jeden na dru-  
gim. Każdy z nich miał też samą ranę; główną arte-  
ryję przetrzoną.

Skonali, nie wydawszy jęku.

Głowy ich zwieszane, były obnażone i krwią zbro-  
czone.

Byli oskalpowani.

— 172 —

de tyłko, gdyż oczy i nos niknęły pod czarnym  
jedwabnym bandażem. W bandażu były dwa ciemne  
szkła, służące za okulary.

Henryk nie spodziewał się znaleźć go tak słabym.  
— Więże to ten dzielną przeciwnik, ten bohater  
romansu, ten dumny Węgieł, którego nazwisko brzmi-  
ło tam na zachodzie w dolinach i górach, major „gol-  
den-daggerów”, człowiek, dla którego piękne meksy-  
kańki poświęcały wspomnienie swe sploty!..

Chory, o chodzie niepewnym—nie oien, gdyż wy-  
raz ten znamionuje poezję, a poezja niknie wobec  
czarnego bandaża i ciemnych okularów.

Henryk zawstydzil się prawie myśli o zbrodni;  
możnaż było być odważnym wobec tych szczerków w czło-  
wieka? Gdy tak rozmyślał, ręką Rosena wyścignęła  
się i głos przytknięty zawołał.

— Wdzię cię!

Powstał, księżna również podniosła się. Rosen  
ucisłował rękę księżnej, która rzekła:

— Do widzenia hrabio—zostawiam cię.

Pomyślała zaś w duch.

— Bywał zdrowsz Albergiel.. nie zobaczę cię już  
więcej.

I odchodził, ukłonił się Henrykowi, wskazując  
mu miejsce w oline obok Alberta.

Henryk usiadł.

— Pani — rzekł, — opuściłem Amerykę, widząc  
pana niewiadowym... nie biję się, jak tyłko z temi, kto-  
rzy bronie się mogą.

Rosen ukłonił się.

— Byłeś pan moim kiedys—rzekł.

— Tyłko bez obelgi—przerwał Henryk.

— Czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, czyja to  
była krew pod powozem?

— Pod jakim powozem? Cóż mnie to obchodzi?  
— Pani, — powtórzył z wolna Albert, — byłeś pan  
moim kiedys.

— 172 —

— 179 —

— Pozwólmy wypać się sędziom. Jeżeli wice-hra-  
bia de Villiers nie da zadosyćczynienia Elleney Tal-  
bot, krew jego po dwakroć do mnie należy; a ja chee  
krwi jego!

Księżna spojrziała mu w oczy.

— Czy postanowienie twoje jest nieodwołalne—  
zapytała uroczyście.

— Nieodwołalne!—odpowiedział Rosen.

— Naucz mnie więc, jak ci mam służyć, a wszy-  
stko, czego zażądaś, będzie spełnione—dodała—podając  
mu rękę.

Szczególniejsza wiadomość rozeszła się pomiędzy  
zgrupowanymi na balu.

Jeden z powozów, stojących przed ambasadą, w  
czasie deszczu, pomiędzy drugą a trzecią godziną w  
nocy, opuścił miejsce. Powóz stojący za nim, nie zajął  
jego miejsca, gdyż woźnica spał na kozle pod para-  
solem.

Otóż po deszczu, gdy woźnice wyszli z handlu,  
spostreśli na próżnym miejscu szeroką kałużę krwi.

Aby tu miała być popełniona zbrodnia, nikomu  
to na myśl nie przyszło.

W salonach księżnej niepokoiono się. Czyżby  
ów oczekiwany dramat odegrał się pod oknami pałacu?

Margrabina de Boistrudan była tego pewną. Od  
chwili wejścia nie przestawała śledzić; nie dostrzegła  
jednak nikogo, ktoby miał urzeczywistnić obraz Al-  
berta de Rosen i Francuza, jaki się w jej wyobraźni  
wytworzył. Ci dwaj zawzięci nieprzyjaciele, musieli  
się wzajemnie zamordować; to nie ulegało wątpliwości.

W drugim salonie inne obiegały wersyje; jenerał  
O'Brien zniknął, jak również i osoba przybyła z wice-  
hrabią de Villiers i Jerzym Leslie.

Któs wyszedłszy na zwiady opowiadał, że nikt  
nie znał liberyi znikłego pojazdu, że w nim ukrywały

Złote noże

21

Henryk powstał i postąpił kroków kilka za Jerzym, który mówi dalej:  
 — Rosen jest teraz w gabinecie księżnej de Rivasa, obok balkonu. Spiesz się pan i przybądź. Oso-  
 ba, która rozmawiać będzie z księżną de Rivasa, jest  
 Rosenem.  
 — Dziekuję panu; jak tylko poznam Rosena  
 50,000 talarów będą oddane.  
 Jerzy oddał się mówiąc:  
 — Jutro zgłoszę się po nie osobście.  
 Henryk powrócił do stołu gry.  
 Ręka jego drżała lekko, gdy brał karty do ręki.  
 Mylił się wciąż przegrtywając zapłacił i wstał od stołu.  
 — Spiesz się! — rzekł baron.  
 — Nieszczęśliwy w grze... — zaczął Henryk.  
 — Szczęśliwy w miłości — dokonał baron; — tak  
 mówi, ale jedno nie przeszkadza drugiemu.  
 Henryk przebił się przez tłum, aby dostać się do  
 gabinetu.  
 Wszedłszy, obrzucił wzrokiem wokół.  
 Księżnej nie było.  
 Księżę z kilku znakomitymi osobami rozmawiał  
 przy kominku.  
 Henryk sądził, iż go zwiędziono. Po chwili je-  
 dnak drzwi od sąsiednich pokojów otworzyły się i uj-  
 rzął wchodzącą księżną w towarzystwie mężczyny o-  
 krytego dominem.  
 Henryk pozerał go wzrokiem.  
 Domino zdawało się postępować z trudnością.  
 Księżna wraz z nieznanym usiadła na sofie pomiędzy  
 oknami.  
 — Odepnij hrabio tę maskę, która nie pozwala  
 ci oddychać swobodnie — rzekła.  
 Maską spadła. Pod Henrykiem kolana sięgiły się, mu-  
 siał usiąść... Serce było mu gwałtownie... ale z radości.  
 — Wige to on! — szepnął wice-hrabia.  
 Spadając, maska odkryła twarz bladą, raczej bro-

się dwa domina i, że nikt nie widział, jak się powóz oddalał.

Helena po pierwszym walcu, nie tańczyła już więcej.

Dwa razy odmówiła swemu narzeczonemu.

Margrabina nie była z niej zadowolona; należała ona do tej kategorii matek, które poświęcają się dla swych córek i bywają na balach jedynie, aby widzieć je bawiące się i otoczone; ale gniewają się, skoro te córki pragną bal opuścić.

To szczęście, że Helena była w masce; bez niej, wzbudzałyby litość. Zdawało się, że ani jedna kropla krwi nie płynie w jej żyłach. Drżała w tej atmosferze ciepła. Siedziała nieporuszona i milcząca. Nie rozumiała słów mówiącej do niej matki. Czasami nerwowo dreszcz wstrząsał jej ciałem, innym razem przyciskała piersi zlodowaciałą ręką, jak gdyby pragnęła powstrzymać uciekające tchnienie. Życie jej objawiało się tylko w oczach. Bezprzestannie szukała kogoś w tłumie. Naprawdę. Ten, którego szukała, nie przybywał.

Wice-hrabia de Villiers oddał się do salonu gry; on również czekał niecierpliwie. Aby zabić czas zasiadł przy zielonym stoliku, gdy nagle uczuł rękę na swem ramieniu.

Obrócił się; Jerzy Leslie stał za nim.

— Nakoniec — zawołał wice-hrabia.

— Rosen przybył — szepnął Jerzy.

— Pokażesz mi go pan.

— Stosownie do naszej umowy, wskażę panu, gdzie go znaleźć możesz. — Razem pokazywać się nie możemy.

— Słusznie — rzekł wice-hrabia.

I zwracając się do swego partnera, położył karty.

— Pozwolisz baronie, że odejdę na chwilę.

— Dobrze, dobrze! — odpowiedziano.

— To pańskie powozy? — zapytał.  
 — Bie się będącym na polu, w mijsen, które  
 pan sam naznaczył... ja nie znam okolic Paryża...  
 wybieraj pan.  
 — Czy chcesz pan dalej? — zapytał Henryk.  
 — Mam schadzke dzisiejszego poranku... Pra-  
 gnęby, aby to mogło być jak najbliżej.  
 — O trzy mile stąd — rzekł wice-hrabia, —  
 okolo Courneuve, na drodze do Rlandry, jest odkryta  
 płaszczyna, bez domów i strazy. O wschodzie słońca  
 to pusztynia.  
 — Zgadnam się na płaszczynę w Courneuve.  
 — Jest teraz w pol do szóstej, przybędziemy o  
 wschodzie słońca.  
 I po raz drugi zaczęli się przy kraje.  
 Rosen wyjął klucze i otworzył ją.  
 — Jedźmy więc! — rzekł.  
 A widząc, że wice-hrabia stoi nieporuszony, dodał:  
 — Przygotował pan również dwa powozy... Z  
 natury nie jestem ostrożnym, lecz imi czuwał nade-  
 mną... Na placu będziemy równi, tu nie — bo pan wie-  
 rysz memu honorowi, a ja sądzę pana zdolnym do  
 zbrodni.  
 — Paniel — chciał zawołać wice-hrabia, — który  
 się nagle wyprostował.  
 — O'Brien nie zgina, zargęz panu, — mówił  
 dalej spokojnie Rosen.  
 Towah i Jerzy Leslie również są zdrowi... Wia-  
 nienie w swadkow wszystkich zgromadzonych gości  
 w salonach księżnej de Rivasa... Pod balkonem jest  
 krew... To już nie krwawiz spełniona w śnieżystych  
 górach Ameryki, która cięży na panu zbrodnia fanta-  
 styczna wprawdzie, która sam tylko potwierdził mo-  
 zesz... Nicma również mowy o biednej, uwiedzionej  
 dacie ani listów przejętych, ani innych tym po-

dobnych podłości... ja nawet sam zmywam wszystkie  
 przewinienia poprzedzające noc dzisiejszą... Ale nocy  
 dzisiejszej, opłaciłeś pan bandę rozbójników, obiecałeś  
 50,000 fr. temu, który ci twarz moją pokaże, aby po-  
 tem wydać mnie w ręce twoich ludzi... Moim teraz  
 jesteś panie de Villiers!.. Na stu ludzi — uważaj pan do-  
 brze — na tysiąc ludzi nie znajdziesz pan równego mnie  
 szaleńca, któryby podał panu broń w rękę i powie-  
 dział, jak ja to mówię w tej chwili: „jedźmy”.

Henryk pierwszy przeszedł przez drzwi ogrodu.

— Wszystko coś pan powiedział — rzekł, — jest  
 fałszem, wyjąwszy dwóch rzeczy: że jesteś pan szaleń-  
 cem i, że wierzę pańskiemu honorowi... Czy jest tam  
 broń?

— W każdym powozie jest broń jednakowa, jak  
 ównież i płaszcz — odpowiedział Rosen, — wybieraj pan.

— Droga ku Lille! — rzekł wice-hrabia do woź-  
 nicy — do strumienia Montfort!

— A ja? — rzekł Rosen.

— Pan, do strumienia Montfort, drogą ku Cour-  
 neuve.

— Do widzenia.

— Do widzenia.

I oba powozy jednocześnie puściły się w drogę.  
 Cień jakiś przesunął się między drzewami na Po-  
 lach Elizejskich i, zniknął biegnąc za powozami.

### Mokassiny Towaha.

Pan Benedykt, właściciel willi, zamieniony w woź-  
 nicę, popędzał silnie konie; przejechał Montmartre i za-  
 kręcił na ulicę St. Dyjonizjusza.

Powóz trząsał straszliwie, co jednak nie przebu-  
 dziło śpiących w nim ludzi.

— Słowo daję — myślał Benedykt — mam wielką  
 ochotę wywrócić, może ich to w końcu rozbudzi.